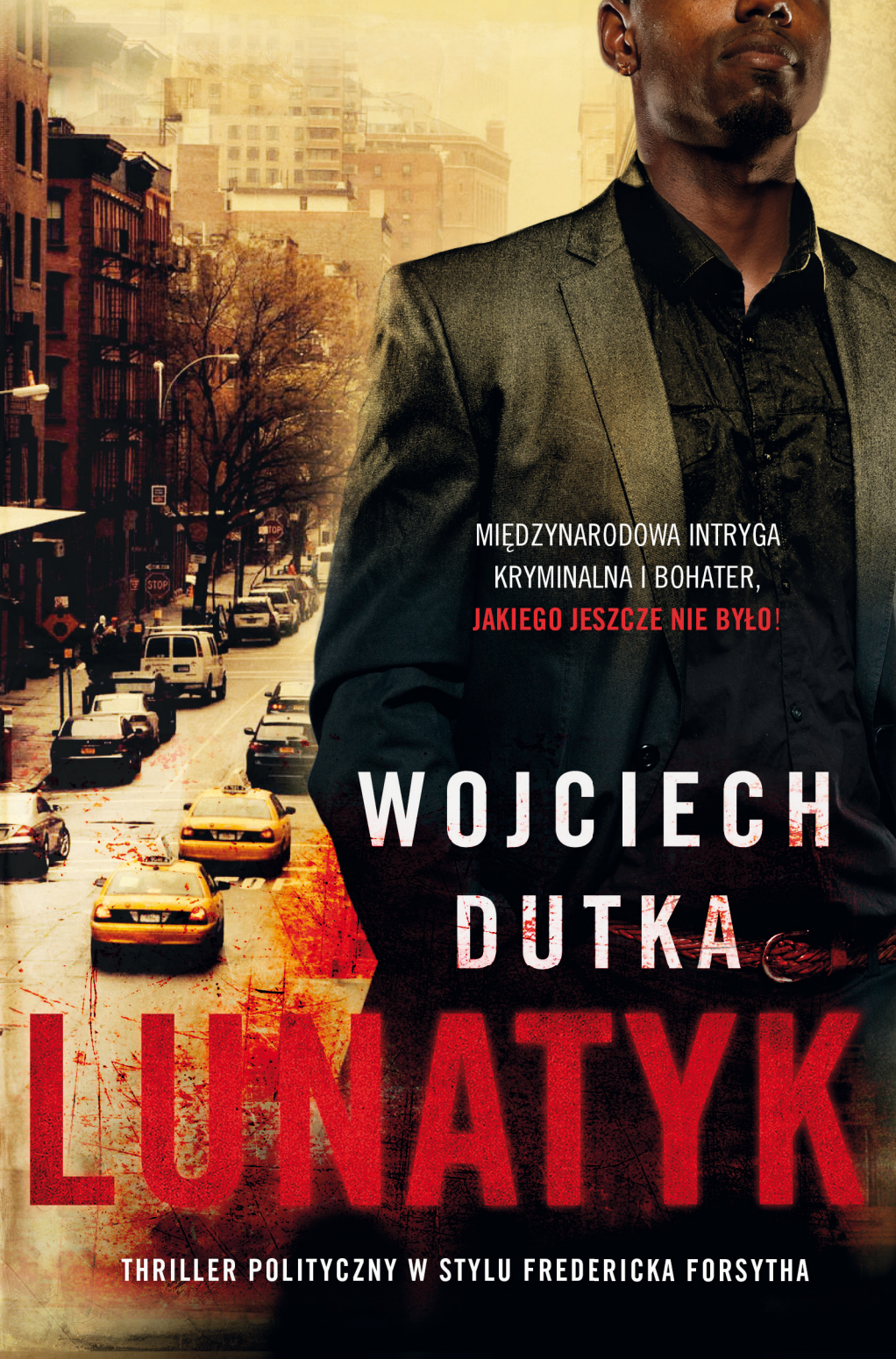




MIĘDZYNARODOWA INTRYGA
KRYMINALNA I BOHATER,
JAKIEGO JESZCZE NIE BYŁO!

WOJCIECH DUTKA **LUNATYK**

THRILLER POLITYCZNY W STYLU FREDERICKA FORSYTHA

Prolog

Lunatyk to inaczej chodzący we śnie. Taka przypadłość zdarza się dzieciom, a u dorosłych jest już chorobą. Lunatyk może wykonywać podczas snu różne czynności, nie wiedząc o tym, co robi. W roku 1990, kiedy Polska Rzeczpospolita Ludowa przedzierzgnęła się ostatecznie w Trzecią Rzeczpospolitą, to pojęcie zyskało nowe, metaforyczne, znaczenie.

W pewien słoneczny wiosenny dzień na wysypisku śmieci w Radiowie, na granicy Warszawy i Starych Babic, nieustannie płonęły stosy dokumentów zwożonych ciężarówkami z przepastnych archiwów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Pracownicy wysypiska dostali zakaz zbliżania się do płonących stosów. Nikt nie mógł fotografować, a wokół rozstawiono ubranych po cywilnemu tajniaków.

Pułkownik Służby Bezpieczeństwa patrzył beznamiętnie na trawione ogniem dokumenty. On wiedział, że palono tego dnia mało znaczące szpargały, akta osobowe pionków, podczas gdy prawdziwi rozgrywający mogli czuć się bezpieczni. Pułkownik podszedł do jednego ze stosów i odpalił hawańskie cygaro, jedno z ostatnich, jakie otrzymał w prezencie od kubańskich towarzyszy.

– Dobrze się pali to dziadostwo – mruknął pod nosem.

Wiedział, że najważniejsze akta są bezpieczne w kilku willach w Konstancinie. Teczki dawnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa PRL to władza. I trzeba używać jej przezornie, mając wciąż na smyczy tych, których złamano i którzy przysłużyli się systemowi. Pułkownik wiedział też, że nowe niekomunistyczne władze Polski w rządzie premiera Mazowieckiego będą się poruszały bez tych teczek jak lunatyk, po omacku.

W zaparkowanym niecały kilometr od wysypiska samochodzie, mercedesie kupionym za dewizy w Niemczech Zachodnich, znajdowały się teczki, które nie mogły spłonąć. Pułkownik otrzymał z Moskwy rozkaz zniszczenia ich, ale podejrzewając, że w innych czasach mogą się stać polisą ubezpieczeniową, nie wykonał go. Takich materiałów się nie niszczy, pomyślał. Dotyczyły one operacji Lunatyk, tajnej akcji służb radzieckich, polskich i enerdowskich, i miały zapewnić przetrwanie funkcjonariuszom tajnej policji. Stanowiły wiedzę, za którą już zginęli ludzie. Każdy, kto trafiłby na ślad operacji Lunatyk, musiał umrzeć. Pułkownik sądził, że wyczyścił archiwum ze wszystkich śladów po operacji. Już nikt nigdy nie miał się dowiedzieć, co naprawdę się stało.

Mylił się.

Gdy w 1995 roku młody pracownik Urzędu Ochrony Państwa, Andrzej Skotnicki, przez przypadek znalazł w dokumentach tajnego współpracownika o pseudonimie Iluminator notatkę będącą jedynym śladem po operacji, nie wiedział, że odkrycie to zmieni życie nie tylko jego, ale też kilku innych osób na różnych kontynentach.

Operacja Lunatyk jeszcze się nie skończyła...

Rozdział pierwszy

TAJNIAK

Kraków, czerwiec 1986

Dzień był deszczowy i chłodny jak na tę porę roku. Wiśniak szedł Plantami. Mijał obojętnie szarych peerelowskich przechodniów. W gruncie rzeczy gardził nimi. Czuł się od nich lepszy nie tylko dlatego, że miał nowego poloneza, ale dlatego, że miał władzę. Szedł do krakowskiej siedziby Służby Bezpieczeństwa z poczuciem rutyny. Praca nie sprawiała mu już takiej przyjemności jak w stanie wojennym. Ale nawet teraz nie można było narzekać na całkowity zastój. Nie dalej jak dwa dni wcześniej koledzy dali wycisk jakimś dwóm gówniarzom z parafialnej oazy złapanym na roznoszeniu ulotek o Katyniu. Dostali po dupie tak, że przez najbliższe lata nie będą chcieli myśleć o żadnej działalności opozycyjnej. Solidarność była od pięciu lat rozbita i zdelegalizowana. Gówniarze, pomyślał, uśmiechając się do siebie pod wąsem, co oni mogą wiedzieć o życiu? On wiedział całkiem sporo. Skończone studia prawnicze, znajomość języków obcych, żadnych krępujących go więzów rodzinnych, stała i dobrze płatna praca, której się nie wstydził, liczne przywileje i poczucie absolutnej bezkarności, czegoż

chcieć więcej?

Jak na syna upartego chłopca spod Kielc, Kazimierz Wiśniak zaszedł w SB dość wysoko. Z powodu pochodzenia czuł wdzięczność wobec władzy ludowej. Dała mu wszystko, o czym marzył. Nie był jednak ideowym komunistą. Każdy rodzaj niepraktycznego idealizmu miał w głębokim poważaniu. Był pragmatykiem i cynikiem. Idąc do pracy, rozmyślał często nad przebiegiem kariery. Nigdy nie zaniedbał swoich obowiązków. Był wazelinierzem, tam gdzie wymagała tego sytuacja; nie tracąc poczucia pewności siebie, okazywał pokorę starszym w hierarchii oficerom, ale bywał też brutalny i bezwzględny – w zależności od potrzeb. Nade wszystko jednak pilnował kariery.

Zaczynał pracę w SB w czasie trwania protestów w Radomiu i Ursusie w 1976 roku. Śmiał się w duchu z tej gównianej studenckiej kolekcji opozycjonistów, jak mawiał o warszawskich studentach politechniki i uniwersytetu. Za rozpracowanie środowiska akademickiego dostał awans. Już nie musiał udawać kogoś innego, choć tamta gra operacyjna dostarczała mu dużo przyjemności. SB szybko przeniosła go z Warszawy do Krakowa, aby nikt go nie rozpoznał. Zmienił więc Departament Trzeci, zajmujący się opozycją, na Czwarty, który miał za zadanie walkę z Kościołem katolickim. Od Ursusa i Radomia minęło trochę czasu i nikt ze studentów aresztowanych wówczas w Warszawie nie dowiedział się, kto ich sypnął. Kraków okazał się bardzo trudnym terenem – wielki ośrodek uniwersytecki z głęboko konserwatywną elitą i potężnym Kościołem umocnionym przez kardynała Wojtyłę. Na szczęście ten koszmar był już za nim. Stan wojenny zamroził wszystko. Generał Jaruzelski – jak mawiano w esbeckich kręgach – twardo trzymał kraj za mordę. Służba

Bezpieczeństwa miała gęste struktury, w każdej wojewódzkiej komendzie Milicji Obywatelskiej znajdowała się ich komórka nadzorująca pracę TW – tajnych współpracowników bezpieki. Wiśniak kierował w Krakowie komórką do rozpracowywania kleru i środowisk katolickich.

Pełnił funkcję łącznika między watykańskimi kontaktami operacyjnymi Służby Bezpieczeństwa i krajem. Odkąd kardynał Wojtyła został papieżem (w esbecji nie mówiono na niego inaczej niż „jebany Wojtyła”), SB nieustannie wysyłała swoich agentów do Watykanu. Jednak po trzynastym maja 1981 roku, kiedy Turek Mehmet Ali Ağca strzelał do papieża, w SB zapanowała panika. Należało zadbać, by zniknęły jakiekolwiek powiązania między wynajętymi do tej brudnej roboty Turkami, nadzorującymi akcję służbami bułgarskimi, KGB – czyli zleceniodawcą zamachu – i polskimi służbami, które odpowiadały za sprzątanie: pozbywanie się świadków, niszczenie dowodów oraz likwidację kont. Wiśniak decyzją ludzi na najwyższym szczeblu został oddelegowany do tej roboty i najwyraźniej nie zawiódł, bo na początku 1982 roku z Moskwy przyszło polecenie, żeby awansować porucznika Wiśniaka na kapitana.

*

Zjawił się w pracy punktualnie. Wchodząc do budynku, pokazał legitymację, przeszedł przed szybą, za którą siedział uważny i gorliwy portier, i skierował się do swojego biura na drugim piętrze. Minął uśmiechającą się do niego sekretarkę. Wiedział, że gdyby kiwnął palcem, poszłaby z nim do łóżka, ale nie lubił łatwych kobiet i łatwych spraw. Rzucił niedbale teczkę z papierami, ściągnął popelinowy płaszcz i powiesił go na drewnianym wieszaku z wyrytymi

inicjałami jego imienia i nazwiska. Podeszedł do okna, otworzył je, po czym zasiadł za biurkiem i zapalił pierwszego papierosa w pracy – caro. W przeciwieństwie do innych esbeków, których gabinety wypełniały się w trakcie dnia szaroniebieskimi chmurami dymu, on palił niewiele.

Usiadł na krześle i zaczął przeglądać leżącą na biurku „Trybunę Ludu”. Przerzucał ze znudzeniem strony. Czytał, że rośnie produkcja, zwiększają się moce wydobywcze kopalni, buduje się coraz więcej statków, a młodzież uczy się coraz lepiej. Po jakimś czasie lekturę przerwała mu sekretarka.

- Towarzyszu kapitanie, macie rozmowę z Warszawą.
- A czego chcą?
- Pułkownik Gozdawa z MSW.

Powiedział, że odbierze w gabinecie. Gdy wyszła, siorbnął herbacianą lurę zaparzoną w szklance. Kiedy telefon zadzwonił na bezpiecznej linii, podniósł słuchawkę. Poznał ochrypy, bardzo charakterystyczny głos Gozdawy.

- Jak życie w tym waszym Krakówku?
- Dobrze, nie narzekam.
- Mecz oglądaliście? – zapytał Gozdawa.
- Tarasiewicz w słupek – odpowiedział Wiśniak, mając na myśli niewykorzystaną sytuację w dobrym meczu z Brazylią rozegranym przez drużynę Piechniczka na mundialu w Meksyku. – Ale niestety umoczyliśmy, cztery do zera.
- Kurwa, nie przypuszczałem, że będzie tak wysoko – rzucił pułkownik Gozdawa, zapalony kibic piłkarski.
- Towarzyszu pułkowniku, nie o meczu chcieliście mówić – przypomniał mu Wiśniak.
- Tak, to prawda. Towarzyszu, słuchajcie, jest sprawa, na której można dużo zyskać.
- Jaka?

– To nie na telefon. Chciałbym, żebyście przyjechali jutro do Warszawy. Powiem wam tylko tyle, że to będzie się dla was wiązać z wyzwaniem i awansem zarazem. Zgadza się?

– Jak mogę się zgodzić, skoro nie znam sprawy?

– Dowiedzie się wszystkiego. Nie pożałujecie – powiedział Gozdawa i zakończył rozmowę.

Wiśniakowi nie było w smak spędzić kilka godzin w polonezie. Czego oni, kurwa, w tej Warszawie nie wymyślą! – zaklął w duchu, ale uznał, że nie ma wyboru. Gozdawa zawsze był mu bardzo życzliwy. Nie odrząca się ręki, która dobrze karmi. Obydwaj mieli wyjątkowe doświadczenie w sprawach trudnych. Po zabójstwie księdza Popiełuszki, dokonanym przez oficerów SB z pionu pułkownika Pietruszki, to właśnie Wiśniak i Gozdawa dostali rozkaz „posprzątania” po sprawie. Wyczyścili cały wydział z wszelkich dokumentów dotyczących zabitego duszpasterza Solidarności. Oficjalnie zabójstwo było wynikiem wybryku kilku krewkich i zatroskanych o los PRL-u oficerów, którzy postanowili „klesze dołożyć”. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że rozkaz zabicia księdza wydano na samej górze.

Zerknął na grafik. O dwunastej miał się spotkać w krakowskim ZOO z ważnym tajnym współpracownikiem, najlepszym, jakiego udało mu się zwerbować w ciągu całej pracy dla peerelowskiego państwa. Był to człowiek opozycji, z wybitną przeszłością – w stanie wojennym siedział w więzieniu, co uwiarygodniało go w oczach Solidarności. Agent Wiśniaka działał też blisko Kościoła, choć nie był duchownym. Miał do przekazania miesięczny raport. Nigdy nie spotykali się w krakowskiej siedzibie SB ani na komendach milicji. Wiśniak był na to zbyt ostrożny, a przełożeni, widząc jego bezwzględność, sukcesy w zwalczaniu opozycji i oddanie

komunistycznej sprawie, zostawiali mu dużą swobodę operacyjną.

Krakowskie ZOO, tego samego dnia

– Zawsze się zastanawiam, dlaczego wybiera pan na spotkanie to miejsce, przed wybiegiem lwów – zwrócił się do siedzącego na ławce mężczyzny, który czytał gazetę.

– Bo to drapieżniki – odparł tamten. – Tak jak my.

Wiśniakowi podobała się ta metafora. Skłonność do znajdowania w tej smutnej robocie odrobiny niekłamanej przyjemności łączyła ich. Odkąd w 1976 roku zwerbował tego lekarza, ich współpraca układała się modelowo. Właściwie trudno powiedzieć, czy go zwerbował, bo Władysław Skotnicki po prostu napisał do SB list, w którym proponował swoje usługi. Było to coś tak nieprawdopodobnego, że w krakowskim oddziale esbecji po przeczytaniu tego listu osłupieli. Skotnickiego przydzielono do porucznika Wiśniaka, taki był wówczas jego stopień.

Zaczęli rozpracowywać środowisko lekarzy współpracujących z Komitetem Obrony Robotników powstałym po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie. Po wyborze kardynała Wojtyły na papieża TW Iluminator (taki pseudonim wymyślił dla siebie Skotnicki) zajął się środowiskiem krakowskiego Kościoła. Szybko zdobył zaufanie swoją pobożnością i niechęcią do komunizmu. Wiśniaka i TW Iluminatora łączyła dziwna relacja, w której było tyle samo przyjaźni, co wzajemnej zazdrości.

Połączyła ich także sprawa Popiełuszki. Iluminator nie

należał wprawdzie do kręgu najbliższych przyjaciół duchownego, ale miał do nich swobodny dostęp. Pomagał organizować wizyty w archidiecezji krakowskiej, w której ksiądz Popiełuszko z powodu swojego zaangażowania politycznego nie był zbyt lubiany, oraz na Śląsku. To właśnie od niego w październiku 1984 roku, w przeddzień porwania, wyszła informacja, jaką drogą Popiełuszko będzie wracał ze Śląska do Warszawy.

Władysław Skotnicki popatrzył na swojego oficera prowadzącego z lekceważeniem. Uważał się za lepszego tajniaka niż on.

– Raport jest w gazecie – powiedział.

– Potrzebuje pan pieniędzy? – zapytał Wiśniak. – Jutro muszę jechać do Warszawy.

– Nie, załatwimy to następnym razem. Osiem tysięcy złotych. W gotówce.

– Oczywiście.

Bezpieka regularnie płaciła Skotnickiemu, na jego prośbę w niezbyt wielkich sumach, aby w domu żona i dzieci nie zdziwiły się, skąd ma tyle pieniędzy. Bo Władysław Skotnicki w czasie, kiedy nie był TW Iluminatorem, starał się być mężem i ojcem. Miał dwoje dzieci – córkę i syna, a im w szarej rzeczywistości lat osiemdziesiątych nie mogło zabraknąć niczego.

Warszawa, MSW, dzień następny

Pułkownik Gozdawa, esbek ze szkoły Moczara, był człowiekiem bezwzględny, o dużym poczuciu własnej wartości. Lubił dobre cygara, oczywiście kubańskie, dobrą

wódkę i drogie dziwki. W resorcie się go bali. Cieszył się pełnym zaufaniem generała, a kontakty pułkownika z towarzyszami radzieckimi zapewniały mu niezależność. Odpowiadał za działanie departamentu współpracy z innymi policjami politycznymi bloku wschodniego, w tym za kontakty operacyjne z KGB oraz ze wschodnioniemieckim Stasi. Oprócz tego był partyjnym sybarytą, których w owym czasie w resorcie nie brakowało. Nawet jeśli kiedyś mógł się podobać kobietom, to teraz wyraźnie zaokrąglony brzuch, z trudem ukrywany przez o numer większy błękitny mundur MSW, nie pozostawiał cienia złudzeń co do kondycji pułkownika. Gozdawa miał orli nos, krótkie siwiejące włosy i rumiane policzki. Zaanonsowano przybycie kapitana Wiśniaka. Na widok gościa pułkownik wstał, podszedł do niego, po czym ruchem ręki zaprosił go do zajęcia miejsca przy stoliku, na którym stała popielniczka pełna niedopałków. Obaj zapalili. Gozdawa w przeciwieństwie do Wiśniaka palił marlboro, kupowane zawsze za dewizy lub po prostu sprowadzane z Zachodu. Najchętniej napiłby się z kapitanem wódki, ale rozmawiali przecież w godzinach urzędowych, a Jaruzelski nie lubił picia w pracy. Wiśniak cały czas zastanawiał się, jaki jest cel jego wezwania do siedziby ministerstwa. Biurko Gozdawy było zawałone papierami. Czy on, kurwa, nie zna się na porządku? – zastanawiał się Wiśniak. Pułkownik siorbał herbatę posłodzoną trzema łyżeczkami cukru.

– Czy jesteście odważni? – Odchrząknął, chcąc przybrać nieco bardziej familiarny ton.

– Myślę, że tak – odrzekł bez wahania kapitan.

– Zastanówcie się dobrze. Od tej odpowiedzi dużo zależy. My tu, w resorcie, przypatrujemy się wam. Ja się przypatruję

i sądzę, że byłbyś, Kazik, idealnym kandydatem.

– Do czego, towarzyszu pułkowniku? – Wiśniak nie miał odwagi przejść na ty.

– Nie macie rodziny, wasi rodzice nie żyją – kontynuował Gozdawa. – Mam tu waszą teczkę. Z zebranych dokumentów wynika, że nienagannie pełniliście służbę na tym trudnym froncie walki wewnętrznej, jaką Polska Ludowa stacza każdego dnia.

– Robię to, co robię. – Wiśniak nie lubił partyjnej gadki szmatki. Za Gierka dosyć się tego nasłuchał.

– Na jakie ryzyko moglibyście się zgodzić? – zapytał badawczo Gozdawa. – Gdybyście musieli wyjechać za granicę.

Wiśniak dopiero teraz przenikliwie popatrzył przełożonemu w oczy.

– Na duże – odparł, i ta odpowiedź podobała się Gozdawie.

– To bardzo dobrze. Obserwuję waszą zdolność do uczenia się języków obcych. Znacie francuski, niemiecki, angielski.

– Również rosyjski.

– Ten język wszyscy znają. – Gozdawa znowu odchrząknął.

– Szczególnie wysoko oceniam waszą operację przeciwko klerowi w Krakowie. Macie duże doświadczenie w resorcie.

– Staram się, towarzyszu pułkowniku.

– Jak nazywała się ta operacja, którą tak zaskoczyliście krakowski kler?

– Zakrystia. – Ta operacja przyniosła Wiśniakowi pewną sławę w resorcie.

– No właśnie, Zakrystia. Opowiedzcie mi o niej. Ucieszcie mnie relacją o tym, jak kolejny pierdolony klecha zaczął nam jeść z ręki.

Kraków, rok wcześniej

Ojciec Tymoteusz Morawski jak co tydzień szedł na spotkanie. Czuł się zbrukany. Codziennie, kiedy sprawował mszę świętą, chciał się schować pod ołtarzem, bo miał wrażenie, że o jego zdradzie wiedzą wszyscy. Coraz częściej pojawiały się myśli, żeby ze sobą skończyć. Czuł się zaszczuty i złamany. Jak do tego doszło? Jak to się stało, że został zdrajcą? W czasie Świąt Wielkanocnych ludzie modlili się do Jezusa i przeklinali Judasza, apostoła, który wydał Pana. A teraz Judaszem był on. Zdrada parzyła mu sumienie jak rozżarzony węgiel dłoń.

Kilka miesięcy wcześniej ojciec Tymoteusz poczuł się bardzo źle podczas rekolekcji adwentowych. Myślał, że to grypa. Gorączka utrzymywała się tygodniami, osłabienie i bóle w okolicach węzłów chłonnych nie dawały mu wytchnienia. Poszedł do wskazanego przez przełożonego w klasztorze lekarza, a ten, przebadawszy go, dał skierowanie na cito na oddział onkologiczny. Diagnoza specjalistów brzmiała jak wyrok. Chłoniak. Całą nadzieję ojciec Tymoteusz pokładał w tym, że nowotwór był jeszcze we wczesnym stadium i przy zastosowaniu odpowiedniej chemioterapii można go było pokonać. Ale w chwili, kiedy najbardziej potrzebował pomocy, dał znać o sobie cały dramat peerelowskiej służby zdrowia. Takiej chemii nikt w Polsce jeszcze nie stosował. Ksiądz wrócił załamany na parafię i upił się winem mszalnym. Znalazł go stary proboszcz.

– Księżu Tymoteuszu, co się księdzu stało? – spytał przejęty.

Tymoteusz przez chwilę patrzył na swojego zwierzchnika nieprzytomnym wzrokiem, a potem wyznał mu prawdę.

– Ksiądz powinien się więcej modlić – poradził mu

proboszcz.

– Modlitwa wyleczy mnie z nowotworu?

– Pomieszało się księdzu w głowie. Bóg leczy wszystko. Musi ksiądz tylko znaleźć w sobie żarliwą i głęboką wiarę.

Tymoteusz miał wrażenie, że rozmawiają nie o jednej religii, ale o dwóch. Jego religia uznawała, że człowiek został stworzony w fizyczności, a więc rak był też częścią przyrody, której z kolei częścią był on. Tylko że on nie chciał umierać, wierząc, że Bóg dokona cudu, albo czekając, aż peerelowska służba zdrowia skaże go na cierpienia. Tymoteusz był jak niewierny Tomasz – nie uwierzy, póki nie zobaczy.

– Mimo to chciałbym się poddać leczeniu – odpowiedział proboszczowi. – To może mnie wyłączyć na jakiś czas z pracy w parafii.

– Proszę napisać podanie do księdza biskupa – odrzekł gniewnie proboszcz, który nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

I Tymoteusz napisał do biskupa, nie wiedząc, że idzie ścieżką nie do Pana Boga, ale w objęcia Służby Bezpieczeństwa. W szpitalu, na oddziale onkologicznym, pracowała pielęgniarka, która była wtyczką SB. Informacja o chorym na nowotwór duchownym była cenna, więc już wkrótce do parafii Tymoteusza zawitał ktoś, kto miał wystawić wiarę księdza na poważną próbę. Zanim jednak do tego doszło, chory słabł z miesiąca na miesiąc, bezskutecznie czekając na chemioterapię. Czuł się zmęczony walką, a żarliwa modlitwa nie przynosiła mu ulgi. Ksiądz czuł, że stanął przed najtrudniejszą próbą w swoim życiu: jak zachować wiarę, mając świadomość nieuniknionego końca życia. A nie chciał być męczennikiem. Kochał Boga – tak przynajmniej mu się wydawało – tak jak można kochać

kogoś, kogo nikt nigdy na oczy nie oglądał. Kochał Boga wiejskich kapliczek, nabożnego różańca, kochał Boga z niedzielnej oazy, dającego proste odpowiedzi na najbardziej złożone pytania. Teraz jednak ów Bóg milczał, a Tymoteusz z każdym dniem zapadał się w sobie, w swojej własnej małej pustce, na której dnie istniał tylko strach przed śmiercią, przed nieodwracalnym końcem. A chciał żyć za wszelką cenę.

Właśnie wówczas przyszedł gość. Władysław Skotnicki był cenionym działaczem katolickim i opozycjonistą. Został aresztowany jeszcze przed stanem wojennym po incydencie w Bydgoszczy w marcu 1981 roku, kiedy to milicja pobiła Rulewskiego. W czerwcu 1982, podczas stanu wojennego, wyszedł na wolność. Miał nieposzlakowaną opinię niezależnego działacza.

– Czy mógłbym prosić księdza o chwilę rozmowy? – zapytał uprzejmie po niedzielnej mszy.

– Tak, oczywiście, pójdziemy do mnie na plebanię – zaproponował ksiądz.

Pan Władysław sprawiał wrażenie osoby głęboko i nie na żarty zatroskanej stanem zdrowia swojego duszpasterza.

– Słyszałem o kłopotach księdza ze zdrowiem – powiedział, widząc, jak ksiądz wychudł.

– Dziewczyny z oazy za dużo mówią – rzucił trochę zirytowany Tymoteusz, choć wszyscy wiedzieli o jego chorobie.

– Proszę nie zaprzeczać. Na parafii słyhać to i owo, a ja mam wiele znajomości wśród lekarzy. Sam jestem lekarzem. Rak nie musi oznaczać wyroku.

– Co to pomoże, skoro tyle miesięcy czekam na chemioterapię. – Tymoteusz westchnął.

– Ksiądz musi wzmocnić organizm. Myślę, że leczenie w

Polisce księdzu nie pomoże, a tymczasem zachodnie szpitale radzą sobie lepiej z nowotworami. W Berlinie Zachodnim, na przykład, na pewno znalazłby się ośrodek, w którym by księdzu pomogli – powiedział Władysław Skotnicki.

– To jest możliwe? Można sobie, ot tak, wyjechać na leczenie? Pewnie trzeba mieć znajomości, których ja nie mam.

– Nieprawda, ma ksiądz mnie. – Skotnicki położył na jego stoliku nocnym kartkę. – Tam znajdzie ksiądz telefon do człowieka, który może pomóc. Przecież ksiądz jest taki młody, ma prawo żyć...

Gdy zostawił osłupiałego Tymoteusza samego, ten podszedł do stolika nocnego i zobaczył na kartce numer telefonu. Nie chciał wierzyć, że Bóg wysłuchał go w takiej chwili. Rano zadzwonił. Międzyimiastowa szybko połączyła rozmowę. Telefon odebrał mężczyzna, który zaproponował mu wyjazd na leczenie do Niemiec w zamian za pewne informacje o innych księżach. Tymoteusz trochę się zdenerwował, ale uspokoiły go słowa, że nic się nie dzieje bez wiedzy jego przełożonych. Miał się regularnie widywać z wysłannikiem prymasa i przekazywać mu informacje. Ksiądz, z którym się spotykał, nie wzbudził jego podejrzeń – wylegitymował się, okazując list od prymasa Glempa z jego własnoręcznym podpisem. Dwa tygodnie później ojciec Tymoteusz wyjechał na leczenie do Berlina Zachodniego, a w SB założono jego teczkę – nadano mu kryptonim Augustyn.

Warszawa, MSW, czerwiec 1986

Gozdawa nienawidził Kościoła jak większość esbeków zajmujących się zwalczaniem tej instytucji w Departamencie

Czwartym MSW. Miał dobre zdanie o ludziach pracujących w tym departamencie. Kościołowi należało przypierdolić, tak jak Wiśniak zrobił to w Krakowie albo tak jak grupa operacyjna Piotrowskiego zatłukła Popiełuszkę. Był zachwycony rzecznikiem rządu, Jerzym Urbanem, który jako Jan Rem skutecznie ośmieszał kler. Wiśniak właśnie skończył opowieść o tym, jak zwerbował do współpracy księdza Morawskiego, który coraz lepiej wywiązuje się z powierzanych mu zadań. Dzięki niemu krakowska SB wiedziała bardzo dużo o zamierzeniach kardynała Macharskiego, następcy Wojtyły na tronie arcybiskupów krakowskich. Ksiądz Tymoteusz przez jakiś czas pracował jako sekretarz Macharskiego. W Warszawie pozyskanie go do współpracy uznano za duży sukces.

– Czy ten twój TW Iluminator dalej pracuje? – zapytał Gozdawa zza swojego biurka.

– Oczywiście, towarzyszu pułkowniku – odparł Wiśniak. – Dzięki niemu mamy stały wgląd do krakowskiej kurii, a odkąd Wojtyła wylądował w Rzymie, dzieją się tam ważne rzeczy. To mój największy sukces – oznajmił z triumfem w głosie. – Dzięki Iluminatorowi mamy dostęp do Macharskiego i pośrednio do całego episkopatu. Jest z nimi w jak najlepszych stosunkach.

Gozdawa szybko skojarzył ten kryptonim z nazwiskiem bardzo znanego opozycjonisty. Uśmiechnął się z satysfakcją. Opozycja była pewna, że działa przeciw systemowi, a tymczasem to system sterował opozycją.

– Towarzyszu pułkowniku, co to za misja, którą chcecie mi powierzyć? – zapytał Wiśniak.

– O tym dowiecie się od towarzyszy radzieckich. Jedziemy do ambasady.

– Co proszę? – rzucił zaskoczony Wiśniak.